

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Dlaczego tylu uchodźców grało naszego Chopina?

Zakończył się kolejny XIX Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. W czasie trwania konkursu i po jego zakończeniu pojawiło się mnóstwo tekstów, opracowań i krytyk. Sam popełniłem dwa teksty, ale obiecuje, że ten jest ostatnim, bo miłość do kota może być wielka, ale tą miłością można kota zagłaskać.

Andrzej Dębkowski

Czy zauważyliście, że gdziekolwiek na świecie pojawia się jakiś uchodźca z fortepianem, z walizką pełną nut i melancholii, to prędzej czy później zaczyna grać Chopina? Tak jakby ten biedny Frycek był patronem wszystkich, którzy muszą uciekać: od wojny, od biedy, od własnego kraju, a czasem po prostu od siebie samych. Chopin – ten cichy, suchotniczy geniusz z Żelazowej Woli, który nigdy nie wrócił do ojczyzny, bo Polska w jego czasach była bardziej stanem ducha niż realnym miejscem – stał się jakimś uniwersalnym kodem emocjonalnym wygnanców. Każdy uchodźca, który usiądzie do fortepianu i zagra nokturn, staje się na chwilę Polakiem, nawet jeśli w paszporcie ma zupełnie inne znaczniki.

Bo Chopin to nie tyle kompozytor, co mit, rodzaj dźwiękowego paszportu dla wszystkich, którzy nie mają już żadnego innego.

Nie ma drugiego twórcy, który tak bardzo utożsamiał się z losem wiecznego tułacza. Jego życie to nie była tylko emigracja z konieczności, to była ucieczka od rzeczywistości, od polityki, od brudu historii. A mimo to – paradoks! – Polska zrobiła z niego sztandar narodowy. My, naród zawsze z torbami, zrobiliśmy

z niego symfonię walizki i nostalgii. Chopin – melancholijny patron tych, którzy na dworcu kolejowym próbują jeszcze dograć mazurka, zanim ich wywiozą gdzieś dalej.

I nie trzeba być Polakiem, by to zrozumieć. Bo uchodźca z Aleppo, Tbilisi, Kijowa czy Buenos Aires w Chopinie słyszy to samo, co my słyszemy od dzieciństwa: dźwięk utraty. To nie są tylko nuty – to jęk wygnania, tęsknoty, żalu, a także ten osobliwy rodzaj pychy, którą żywi każdy, kto cierpi „estetycznie”. Chopin uczył świata, że melancholia może być piękna, że rozpacz może być elegancka, że płacz nad utraconą ojczyzną brzmi lepiej w tonacji e-moll. Nic dziwnego, że jego muzyka staje się balsamem dla ludzi, którzy stracili wszystko. Chopin to melancholia klasy premium, luksusowy smutek eksportowy.

W istocie, wszyscy uchodźcy grają Chopina, bo on sam był uchodźcą doskonałym – takim, który już nigdy nie wrócił i nigdy nie przestał tęsknić. Zostawił za sobą nie tylko kraj, ale i zdrowie, miłość, język, a nawet samego siebie. Chopin nie należał do nikogo: ani do Francji, która go tolerowała jak egzotyczny okaz spleenu, ani do Polski, która go czciła, ale nie mogła już mieć. Dlatego teraz należy do wszystkich, którzy są „pomiędzy” – między granicami, językami, tożsamościami.

Gdy uchodźca gra Chopina, to nie jest akt muzyczny – to rytuał oczyszczenia, modlitwa o utraconą całość świata. Bo przecież w każdym z nas jest coś z Chopina: trochę smutku, trochę dumy, trochę potrzeby, by cierpieć pięknie, w rytmie nokturnu.

Ale nie oszukujemy się – Chopin był też, jakby to dziś powiedzieć, emocjonalnym narcyzem. Rozpaczwał, ale tak, żeby go wszyscy słyszeli. Tęsknił, ale z wdziękiem. Pisał listy pełne spazmatycznych westchnień, w których melancholia graniczyła z autopromocją. I właśnie to czyni go idealnym patronem współczesnych wygnańców – nie tylko tych z paszportami ONZ, ale i tych duchowych, artystycznych, instagramowych.

Bo dzisiejszy uchodźca nie zawsze ucieka przed wojną. Czasem ucieka przed nudą, małżeństwem, korporacją, ojczyzną, która staje się zbyt dosłowna. I wtedy sięga po Chopina – po tę najczystsza formę estetycznej emigracji. Chopin to paszport do wyrafinowanego cierpienia: można się rozczulać nad losem, a jednocześnie czuć, że się uczestniczy w czymś wzniosłym.

Nie przypadkiem więc co kilka lat oglądamy kolejnych pianistów – Koreańczyków, Japończyków, Wietnamczyków, Argentyńczyków – którzy grają „naszego” Chopina lepiej od nas. Bo oni naprawdę wiedzą, co to znaczy tęsknić, tylko nie za Polską, lecz za czymś, czego już nie ma: za dzieciństwem, domem, iluzją bezpieczeństwa. Chopin jest dla nich uniwersalnym językiem straty, kodem emocjonalnym świata, który ciągle się rozpada.

A my, Polacy, patrzymy na to z lekką zazdrością, bo widzimy, że nasza narodowa trauma stała się globalnym towarem kulturowym. Melancholia eksportowa, produkt premium – jak wódka, bursztyn i cierpienie w tonacji d-moll.

Chopin to idealny bohater dla epoki uchodźców, bo jego muzyka jest o utracie, ale bez patosu. U niego nie ma krzyku ani zemsty – jest tylko subtelne, ciche „już po wszystkim”. To dlatego uchodźcy grają Chopina: bo uczy, że można się rozpaść z godnością, że można być złamanym, a mimo to pięknym. On nigdy nie napisał hymnu zwycięstwa – tylko niekończący się lament, w którym nawet triumf brzmi jak żałoba.

To jest muzyka ludzi, którzy wiedzą, że świata już nie da naprawić. Że pozostaje tylko grać, dopóki ręce drżą.

Nie oszukujemy się też co do nas samych – my, Polacy, wciąż z Chopina zrobiliśmy pomnik narodowego narcyzmu. Nasz Frycek ma w tym kraju status niemal sakralny, a jednocześnie dziwnie muzealny. Kiedy gramy Chopina, gramy siebie – naszą wieczną martyrologię, nasz kult cierpienia w rytmie walca. My, naród, który od wieków żyje na walizkach, wreszcie znaleźliśmy w nim usprawiedliwienie: skoro nawet geniusz umarł na obczyźnie, to może to jednak szlachetnie – nigdy nie pasować, nigdy nie wracać, wiecznie tęsknić.

Chopin nauczył nas, że cierpienie jest eleganckie, a wygnanie – moralnie podnoszące. To on zrobił z melancholii rodzaj religii. I dlatego uchodźcy go kochają: bo pozwala im wierzyć, że ich ból też ma sens, że też jest częścią jakiegoś większego, piękniejszego porządku.

Być może właśnie dlatego świat wciąż gra Chopina. Bo świat wciąż jest w ruchu – nieustannie się gdzieś ucieka, coś się traci, coś się próbuje zapomnieć. Chopin to muzyka globalnej emigracji: każdy może w niej znaleźć swoją utraconą ojczyznę, nawet jeśli nigdy nie był w Polsce.

A my, Polacy, powinniśmy się wreszcie pogodzić z faktem, że Chopin nie jest „nasz”. On należy do wszystkich, którzy mają w sercu walizkę.

I może w tym właśnie tkwi jego geniusz: że napisał muzykę o kraju, który nie istnieje, i dzięki temu trafił do ludzi, których kraje też przestały istnieć – w sensie politycznym, emocjonalnym, tożsamościowym.

Chopin to nie ambasador Polski, lecz minister melancholii światowej. Patron tych, którzy wiedzą, że żadna ziemia nie jest ojczyzną na zawsze.

Można więc powiedzieć: uchodźcy grają Chopina, bo w jego muzyce odnajdują siebie. Ale można też dodać złośliwie: bo Chopin był pierwszym z nich. Tylko że jego łódź ratunkowa miała klawiaturę.

A my? My dalej się oburzamy, gdy jakiś Japończyk zagra Poloneza As-dur lepiej od naszego kandydata, bo wciąż wierzymy, że to nas grają – nasze cierpienia, nasze powstania, nasze romantyczne spazmy. Tymczasem to świat gra Chopina. To świat płacze w jego tonacjach, a my tylko podsłuchujemy z boku, z miną właściciela melodii, która dawno przestała do niego należeć.

I w tej właśnie chwili, gdy uchodźca z Sudanu, Korei czy Syrii uderza w pierwsze dźwięki nokturnu, Frycek przewraca się w grobie – nie z oburzenia, lecz z wdzięczności, że jego żal wreszcie stał się wspólnym językiem świata.